

## Relacja z wyprawy Tanzania 2010

Adam Skierski

Kenia/Nairobi – Tanzania/Arusza – Kilimanjaro  
Tarangire – Ngorongoro – Manyara



### Uczestnicy:

Katarzyna Druźba, Wojciech Druźba, Agnieszka Lupa, Grzegorz Majewski, Paweł Nowojski, Agnieszka Skierska, Adam Skierski, Maja Twardosz

### Organizator – przewodnik:

Aleksandra Bielecka, agencja PAMIR

### Legenda

**P** miejsca zwiedzane w danym dniu

**ã** miejsce noclegu

### **Dzień 1 (przejazd Katowice – Berlin – Istambuł - Nairobi)**

**Niedziela 05.09.2010**

**P** lotniska Tegel Berlin, Istambuł

**ã** bus, samolot, lotnisko, gdzie popadnie

Godz. 0:50 Katowice Brynów.

Cała ekipa w pełnym rynsztunku stawiała się punktualnie razem z busem. Pierwszy etap podróży do Berlina minął wyjątkowo szybko: wiśniówka – malinówka – wiśniówka po raz drugi – cytrynowka - ... - lotnisko Tegel.

Na lotnisko dotarliśmy o siódmej rano, było więc mnóstwo czasu na odpoczynek, foliowanie plecaków i nadanie bagażu, bezpośrednio do Nairobi.

Przy odprawie pojawiły się dodatkowe komplikacje, musiałem nadać swój bagaż podręczny, w którym kontroler znalazł scyzoryk (McGuiver'a), który od kilku dni bezskutecznie próbowałem odszukać podczas pakowania. Ostatecznie wszyscy szczęśliwie przeszliśmy kontrolę ściągając buty, rozrywając koszule, czy eksponując piszczące w bramkach staniki i o 11.45 zasiedliśmy w samolocie tureckich linii lotniczych.

Lot do Istambułu trwał ok. 3 godzin. Na miejscu przesunęliśmy zegarki godzinę do przodu. Kuchnia na pokładzie Turkish Airlines okazała się wyśmienita, poczęstowano nas bardzo urozmaiconym obiadem, zimnymi i gorącymi napojami. Podobnie było na drugim odcinku Istambuł – Nairobi, gdzie lot trwał 6 godzin. Upływające godziny podróży mogliśmy mierzyć coraz bardziej opuchniętymi w wyniku podróży stopami.



## Dzień 2 (przejazd Nairobi – Arusha)

Poniedziałek 06.09.2010

P pobyt w Arushy

ã Olasity Logde Gardern Park, Arusha ([www.olasitilodge.com](http://www.olasitilodge.com))

Godz. 2:00, lotnisko Nairobi, Kenia. Szczęśliwie wylądowaliśmy w stolicy Kenii. Po wyjściu z samolotu wypełniamy formularze wizowe. Potrzebujemy wizę tranzytową za 10\$ ważną 24 godziny, jednak pomimo prawidłowego wypełnienia formularza większość z nas dostaje wizę „single” za 25\$ i nic nie daje tłumaczenie kenijskim pogranicznikom, że potrzebujemy inną. Od razu byliśmy napastowani przez obsługę lotniska o napiwki, za wszystko – wskazanie drogi, podpowiedź, co wpisać w formularz, podanie bagażu, itp. Jak usłyszysz od Kenijczyka „do you remember me?”, to znaczy „daj kasę”. Zachowujemy jednak asertywność. Szczęśliwie docieramy do miejsca, skąd odbieramy w całości wszystkie bagaże. Foliowanie plecaków okazało się strzałem w 10-tkę, wszystkie plecaki odbieramy w komplecie bez uszkodzeń.

Ostatnim etapem podróży do Tanzanii jest przejazd busem do miejscowości Arusha. Na lotnisku czeka już na nas bardzo sympatyczny kierowca Gaspar. Drzwi wyjściowe lotniska zastajemy zamknięte na kłódkę, na szczęście znajduje się gość z kluczykiem, wydostajemy się na zewnątrz, pakujemy manele do busa i ruszamy w drogę o godzinie 2:40.



Na szczęście droga składała się z kilku dłuższych odcinków asfaltu. Niestety tam, gdzie go jeszcze nie położono – dramat. W tych miejscach nawierzchnia przypominała drogę techniczną przez kamieniołom. Każdy europejski samochód rozleciałby się na niej po kilku kilometrach, nasz kierowca jednak niewzruszenie grzał do przodu z dość dużą prędkością, a my czuliśmy się jak podskakujące na pace tobołki.

Nocna podróż uniemożliwiała oglądanie okolicy, jedyną atrakcją było w pewnym momencie stado zebra i gazeli, które w światłach reflektorów przemknęły przed nami przez drogę.

W Kenii minęliśmy 2 policyjne „check-point’y”, w których jezdni była zastawiona kolczatką. Bus musiał się zatrzymać w celu zlustrowania przez policjanta, który jak koczownik z bronią na wierzchu wyłaniał się w tych miejscach z ciemnego pobocza i po kilku chwilach odsuwał kolczatkę umożliwiając nam dalszą jazdę.

Na granicę dotarliśmy o 4:30. Od strony Kenii konieczne było wypełnienie kolejnego formularza wyjazdowego i podbicie paszportów pieczęcią „EXIT”. Formalności z celnikiem tanzańskim ograniczyły się do zakupu wizy za 50\$, kolejny formularz, kolejny stempel i dalej w drogę.

Granica wyglądała jak zaniedbany od wielu lat mini-bazar, kilka rozlatujących się bud na poboczu, ruder niewiadomego przeznaczenia i budynekki pograniczników, które stanowiły jedyną skromną namiastkę cywilizacji. Jak się już wkrótce okazało, granica była utrzymana w typowej dla tego regionu architekturze.



Pomiędzy godziną 6 a 7 rano zaczęło widnieć i można było obserwować okolice. Otoczenie wypełniała pustka – typowy afrykański „interior”. Przed Arushą zaczęły się pojawiać skromne, pojedyncze zabudowania i tubylcy. Uwagę zwracały wyłaniające się jakoby znikąd coraz większe grupy dzieciaków maszerujących do szkół. Wszystkie były ubrane w jednolite, charakterystyczne mundurki szkolne, które na tle ubioru typowego Tanzańczyka prezentowały się prawie ekskluzywnie.

Arusha jest trzecim co do wielkości miastem w Tanzanii, zamieszkiwana przez 1,3 miliona mieszkańców, położona na wysokości 1400m n.p.m. Pomimo to robi na nas wrażenie jednego wielkiego slamsowiska. Miasto jest otoczone wieloma parkami narodowymi, Kilimandżaro, Tarangire, Serengetii, Lake Manyara, Ngorongoro, Mount Meru.

Około 7:30 docieramy do hotelu Olasiti Gardern Park w Arushy. W warunkach europejskich byłby to standard turystyczny, jednak w Tanzanii obiekt ten zdecydowanie odznacza się w pozytywny sposób od reszty otoczenia, stanowiąc prawdopodobnie namiastkę lokalnego high-life'u. Pokoje przestronne, z łazienką, lodówką i TV – jak na nasze potrzeby warunki super. Będzie to nasza najbardziej ekskluzywna noclegownia w Tanzanii.

Na miejscu poznajemy naszą opiekunkę – Olę Bielecką – która będzie nam odtąd towarzyszyć w całej wyprawie.



Dzień rozpoczynamy od śniadania, przy którym od razu dało się zaobserwować, że czas w Afryce biegnie wolniej. Żadnego pośpiechu – *hakuna matata*. Po rannym posiłku wszyscy udali się na regenerację po 32-godzinnej podróży aż do lunchu o 13.00. Następnie wybraliśmy się na zwiedzanie miasta.

Przed bramą motelu natknęliśmy się na busa, który za 16\$ zawiózł naszą 8-osobową ekipę do „centrum” Arushy. Krajobraz „slamsowiska” niewiele zmieniał się jak zbliżaliśmy się do centrum miasta. Trochę więcej betonów i budynków, ale generalnie nic, co mogłoby nas

zachwycić. Kierowca kluczył „skrótami” jakby chciał zmylić nam drogę, po czym po dotarciu na miejsce już czekała na nas grupa tubylców oferujących sprzedaż przeróżnych pamiątek. Pierwszy kontakt z miastem przypominał koszmar – od akwizytorów nie mogliśmy się opędzić, nie odstępowali nas na krok i mimo naszej całkowitej ignorancji nie dawali za wygraną. Trzeba przyznać, że zakupiliśmy po bardzo atrakcyjnych cenach kilka charakterystycznych obrazków na płótnie z wizerunkami Masajów, ale po transakcji towarzystwo dalej nas nie upuszczało. Ostatni natręt dał za wygraną chyba aż po 2 kilometrach spaceru za nami.



Nasza 8-osobowa ekipa białych wzbudzała duże zainteresowanie wśród tubylców, zwłaszcza ubrane w krótkie spodenki dziewczyny były lustrowane złowrogimi spojrzeniami lokalnych kobiet, dla których tego typu ubiór przeczy wszelkim panującym w Tanzanii regułom.

Wracaliśmy pieszo do hotelu, wyróżniając się znacząco w czarnym tłumie tubylców. Tego typu spaceru w pojedynkę z pewnością nie byłyby bezpieczne, przynajmniej takie można było odnieść wrażenie.



W połowie drogi do motelu, która zajęła nam ok. 1,5 godziny zatrzymaliśmy się w przydrożnym barze, w którym po dłuższej rozmowie ze schowanym za kratami barmanem (był to typowy wygląd tanzańskiego baru), udało nam się kupić piwo marki Kilimanjaro za 1\$. Zasiadliśmy na plastikowych krzesłach na krótki popas obserwując okolicę świadomi, że także jesteśmy obiektem wnikliwej lustracji wszystkich przechodniów.

Na ulicach Arushy panuje ogromny tłok, mnóstwo ludzi przemieszcza się we wszystkich kierunkach – pieszo, pchając/ciągnąc drewniane wózki, z tobołami na głowach, z dziećmi na plecach, w mundurkach szkolnych, z naręczami towarów na sprzedaż. Uwagę zwracają setki zdezelowanych busików, przeładowanych pasażerami, które wydają się stanowić podstawę lokalnego transportu. Wygląd miasta stanowią głównie rozwalające się budy, targowiska, przeróżne punkty usługowe po obydwu stronach drogi – wszędzie tłok i gwar. Brodząc pomiędzy tym wszystkim zaczynamy odczuwać prawdziwy tanzański klimat.

Lokalna waluta – tanzański szyling – jest wymieniana w kantorach po kursie ok 1500 za 1\$. Płacąc dolarami, co jest możliwe właściwie wszędzie, tracimy na przelicznikach od 20 do 50%.

Do hotelu wracamy na kolację na 18.00 i uzgadniamy plan działań związanych z wyprawą na Kilimandżaro. Wieczorem przygotowujemy ekwipunek – plecak transportowy dla tragarzy, bagaż podręczny oraz całą resztę niepotrzebnych w górach rzeczy, które zostawiamy w hotelowym depozycie.

Ola przestrzega nas przed pajakami czarna wdowa i możliwością spotkania ze skorpionem. W swoich pokojach zastajemy na ścianach gekony, które mamy nadzieję rozprawią się z niepożądanym robactwem.

### **Dzień 3 (Kilimandżaro Machame Hut)**

**Wtorek 07.09.2010**

**P** I etap Machame Gate – Machame Hut

**ã** Obóz Machame Hut (namiot)

Dzień rozpoczynamy wcześniej, o 6.00 jesteśmy już na śniadaniu, po którym do ośrodka podjeżdżają busy z częścią obsługującej nas ekipy. Poznajemy naszego głównego przewodnika, szefa całego zespołu tragarzy – Eliya – już na dole jest ubrany w kurtkę puchową i czapkę, które będą mu towarzyszyć na sam szczyt. Główne plecaki ładują na dachach jeepów. Do bramy parku Machame Gate (wys. 1790 m n.p.m.) mamy ok. 3 godzin drogi z Arushy. Po drodze zaliczamy 2 kontrole policyjne, supermarket i do naszego samochodu dochodzi kolejny ekwipunek razem z kucharzem. W sklepie robimy ostatnie zakupy łącznie z lodami, co było dość ryzykowne biorąc pod uwagę, że przy braku prądu wielokrotne rozmrażanie i zamrażanie tego typu produktów jest częstym zjawiskiem.



Ok. 10.30 jesteśmy na miejscu. Załatwianie formalności związanych z wejściem do parku trwa ponad pół godziny, dostajemy pakiety lunchowe, robimy fotki i ostatnie przepakowania. Na miejscu szykują się do drogi ekipy z całego świata. Zabezpieczone plecaki zostawiamy tragarzom, będzie nam odtąd towarzyszyć na trasie ok 20-osobowy zespół. Poza plecakami niosą cały ekwipunek – namioty, żywność, kuchenki, garnki, pojemniki na wodę – słowem wszystko, co będzie nam potrzebne przez najbliższe 6 dni w górach.

Ruszamy w szeroką drogą w Beskidach.

węższą ścieżkę, w górę. Tylko w odcinki będą w



samo południe, szlak wiedzie początkowo lesie, przypominając drogę szutrową w Jednak stopniowo trasa zmienia się w coraz która przez cały czas pnie się systematycznie tym dniu idziemy w terenie leśnym, kolejne coraz bardziej księżycowym krajobrazie.

Do wysokości 3000 metrów panuje strefa górskiego lasu. Jest ciepło, cała ekipa maszeruje w krótkich spodkach i koszulkach. Mamy buty górskie, ale na takie warunki, gdy jest sucho, wystarczające byłoby lekkie obuwie sportowe.



Do obozu nr 1 Machame Camp, na wysokości ponad 3000 m docieramy po godzinie 16:00, pokonując prawie 1300 metrów przewyższenia od wejścia do rezerwatu. W obozie jest dostęp do wody. Roślinność na tej wysokości jest już zdecydowanie niższa, choć nadal zielono. Tragarze rozbili już większość namiotów w miejscu przypominającym jedno wielkie pyłowisko. W pierwszym dniu jesteśmy jeszcze w miarę czysti, ale ten stan szybko się zmienia i pył wulkaniczny stanie się na najbliższe dni wszechobecny. Już po pięciu minutach wszystkie nasze buty wyglądają identycznie.

Tragarze rozbijają centralny namiot – messę – i zapraszają nas do środka. Czujemy się jak w tureckim namiocie na rytualnej herbacie. Podczas wędrówki codzienny rytuał będzie stanowić kawa i herbata podawana po dotarciu do każdego obozu razem z popcornem – po trudach dnia jest to dla nas prawdziwy popas. Jednak ten podwieczorek to jeszcze nic w porównaniu z kolacją, którą podano o 20.00. Byliśmy pod wrażeniem, jak w tak spartańskich warunkach można przygotować „domowy” obiad – menu stanowiły pyszna zupa, ziemniaki, surówka i mięsno-warzywny gulasz.



Po kolacji mościmy się dwójkami w namiotach, które są na tyle przestronne, że wygodnie mieśmy się w środku ze wszystkimi bagażami.

Wieczorem temperatura spada i robi się coraz zimniej, ale na tej wysokości wchodzimy do naszych puchowych śpiworów wyłącznie w bieliźnie i jest OK. Zасыpiamy nie przypuszczając jeszcze, że dla większości z nas są to ostatnie komfortowe i przespane w całości noce w górach.

#### **Dzień 4 (Kilimandżaro Shira Hut 3900)**

**Środa 08.09.2010**

**P** II etap Machame Hut – Shira Hut

**ã** Obóz Shira Hut (namiot)

Przed budzikami nastawionymi na 6.00 budzi nas wcześniej gwar obozowiska. Wykonujemy pierwszą w górach poranną toaletę ograniczoną do splukania rąk, buzi i mycia zębów nad małą miseczką, gdzie jeden z tragarzy polewa ciepłą wodę z kubka. Wszystkie zabrane z nizin cuda kosmetyki jak suche szampony w proszku, czy mydła w formie papierowych listeczków przyjdzie nam nosić w stanie nienaruszonym do kolejnych obozów.



Na śniadanie kawa/herbata, białe pieczywo tostowe, masło zwykłe i orzechowe (nie znajduje wielu zwolenników), dżem oraz jajko sadzone. Taki „Kilimanjaro Breakfast” będzie naszym stałym zestawem przez kilka kolejnych dni. Dostajemy także woreczki z pakietami lunchowymi: kanapka z masłem, ewentualnie pomidorem lub marchewką, jajko gotowane, soczek, pomarańcza, kilka pasków surowej marchewki). Tankujemy naczynia na wodę i wyruszamy w dalszą drogę o 9.00.

Wodę przygotowują tragarze – czerpana ze strumyka jest poprzedniego dnia gotowana, studzona i dodatkowo dodawane są tabletki odkażające. Tubylcy dla swoich potrzeb pomijają etap zarówno gotowania, jak i odkażania.

Szlak prowadzi dość stromo pod górę, na trasie mnóstwo pyłu wulkanicznego i skał. Już nikt nie przejmie się kurzem, który jest wszędzie. Mycie rąk to syzyfowa praca, gdyż dotknięcie czegokolwiek – ciuchów, plecaka – powoduje, że stan naszych kończyn wraca do stanu pierwotnego.

Na trasie jest dość tłoczno, nie spieszymy się jednak zbytnio, aby za wcześnie nie dojść do kolejnego obozu.

Drugi dzień wspinaczki stanowi 9-kilmetrowy odcinek przez wrzosowiska płaskowyżu Shira do obozu Shira Hut na wysokości ok. 3900 m n.p.m. Przejście zajmuje 4-6 godzin. Półalpejskie wrzosowiska rozciągają się na wysokości 3000 – 4000 m n.p.m. Wyżej występuje strefa alpejska, a ponad 5000 metrów – arktyczna. Roślinność jest coraz niższa, wszyscy jesteśmy zaskoczeni stosunkowo dużą ilością zieleni na wysokości prawie 4 tysięcy metrów. Utrzymuje się ciepła pogoda, towarzyszą nam cały czas wspaniałe widoki.



Do obozu docieramy wcześniej, około godziny 14.00. Czekają już na nas bagaże i rozbite namioty. Z obozowiska roztaczają się wspaniałe widoki, z jednej strony na masyw Kilimandżaro (głównego szczytu na tym etapie wędrówki jeszcze nie widać), natomiast z drugiej na górę Meru (4565 m n.p.m.), która jest najwyższym punktem Parku Narodowego Arusha oraz trzecim najwyższym szczytem Tanzanii po Uhuru Peak (5895 m n.p.m.) oraz Mawenzi (5148 m n.p.m.), leżących w masywie Kilimandżaro Tanzanii. Meru jest

uważana za uspięny wulkan, gdyż ostatnie erupcje były niespełna 100 lat temu. Góra ta jest także piątym co do wysokości szczytem Afryki.

W obozowisku Shira ku naszej uciechu odnajdujemy najbardziej ekskluzywną na całej trasie toaletę z kafelkami na podłodze oraz wymurowanym kibelkiem. Czas w obozie spędzamy nad herbatką i popcornem, grając w kości. W okolicy znajdują się obszary z powstałymi z zastygającej lawy kamieniami – obsydianami. Podziwiamy ich niesamowity, czarny blask.

Temperatura spada i wzmaga się coraz silniejszy wiatr. Przeżywamy chwilę grozy, jak przewraca się nasza prowizorycznie rozstawiona messa. Kolację jemy o 17.30. Dziś specjalności zakładu stanowi zupka – krem z dyni. Ola wykonuje każdemu uczestnikowi wyprawy pomiar wysycenia krwi tlenem. Wraz ze wzrostem wysokości u większości osób saturacja spada, u nielicznych utrzymuje się na stałym poziomie. Zostaję niestety liderem grupy z najniższym wysyceniem, spadającym w drugim dniu do 72%, co nie napawa mnie optymizmem.

O 19.00 jest już całkowicie ciemno, wszyscy powoli udajemy się do spania. Noc dla większości jest trudna. Bardzo silny wiatr łopocze naszymi namiotami, wieje także w środku. Wichura powoduje duży hałas uniemożliwiając nam zaśnięcie. Szczelnie opatulamy głowy przed zawianiem. Wielokrotnie przesypiamy, budzimy się i tak do rana, gdy przed szóstą zrywa nas budzik. Jest zimno, temperatura 1-2 stopnie powyżej zera, ale w nocy panował mróz – pozostawiona w naczyniach woda zamarzała, na skałach i trawie mości się szron. Przed nami trzeci dzień wędrówki.

## Dzień 5 (Kilimandżaro Barranco Camp 3950)

Czwartek 09.09.2010

P III etap Shira Hut – Barranco Hut

ã Obóz Barranco (namiot)

Spotykamy się wszyscy o 7.00 w messie na śniadaniu, poprzedzonym szybką poranną toaletą. Jest zimno. Po dwóch ciepłych dniach do podręcznych plecaków przekładamy polary, kurtki, czapki i rękawiczki. W drogę wyruszamy o 8:30.



Z obozu wije się łagodna ścieżka pod górę. Jak zwykle cały czas towarzyszy nam pył. Owiewa nas zimny wiatr, zakładamy czapki i rękawiczki. Krajobraz zmienia się na coraz bardziej „księżycowy”, teren wypełnia się wyłącznie głazami, bez roślinności, za wyjątkiem kępek drobnych traw. Pomiedzy głazami sprawnie przebiegają obładowani ogromnymi tobołami tragarze.



Do obozu Barranco mamy około 5-6 godzin drogi. Wybieramy trudniejszy wariant z odbiciem przez wierzchołek Lava Tower (4630 m n.p.m.) - charakterystyczny szczyt utworzony z zastygłej lawy. Jest to najwyższy jak dotąd punkt naszej wspinaczki. Wszyscy czują się wyjątkowo dobrze. Całą drogę na szczyt wypełnia mi konwersacja z Hamisem - jednym z przewodników - na dosłownie wszystkie możliwe tematy. Panoramę niestety przesłaniają coraz gęstsze mgły.



Zaczynamy schodzić w dół w kierunku obozu Barranco zlokalizowanego na wysokości 3950 m n.p.m. Krajobraz diametralnie się zmienia jak schodzimy z Lava Tower. Skalną pustkę zaczyna wypełniać zielona roślinność, strumyki, rzeczki, włącznie z wodospadami. Jesteśmy mocno zaskoczeni tymi widokami, gdyż jak dotąd w porze suchej oglądaliśmy wyłącznie wysuszone koryta górskich rzek.



Podziwiamy przede wszystkim senecje, z charakterystycznymi mięsistymi magazynującymi wodę liśćmi i pękami żółtych kwiatów na wierzchołku oraz lobelie, osiągające do 3 m wysokości. Rośliny te występują wyłącznie w tym rejonie pod Kilimandżaro. Las z senecji wygląda niesamowicie. Korzystając z okazji przytulamy się do tych roślin, podobnie jak do naszych brzoź, aby zaczerpnąć drzemiącej w nich pozytywnej energii. Z pewnością będzie nam przydatna w najbliższym czasie.

Robi się coraz bardziej mglisto, martwią nas obawy o brak widoków na dalszej trasie, ale humory i zdrowie dopisują nam wszystkim. Do obozu nr 3 Barranco docieramy około 14:30. Jak zwykle czekają już na nas rozbite namioty, herbatka i popcorn. Nasza obozowa organizacja w codziennych czynnościach dochodzi do perfekcji. Wszyscy zżyli się też już z pyłem.



Niedaleko obozu płynie strumyk, z którego czerpana jest woda. Nikt jednak nie ma ochoty na kąpiel przy temperaturze kilku stopni.



Do podanego o 18.00 obiadu dochodzą naleśniki. Najsmaczniejsza jak zwykle jest gorąca, świetnie doprawiona zupa. Czujemy się dobrze, chociaż pojedyncze osoby odczuwają ból głowy. Dzisiejsze pomiary wykazały, że u większości osób wzrosło wysycenie krwi tlenem. Jednak jesteśmy już drugą dobę na wysokości 3900, na której uzyskujemy stosunkowo dobrą aklimatyzację, natomiast prawdziwym testem będą kolejne dni, gdzie kolejne wysokości będą przez nas pokonywane bez aklimatyzacji.

Po godzinie dwudziestej jesteśmy już w śpiworach, nastawiamy budziki na 5:30 i lulu. Noc jednak okazuje się bardzo męcząca. Generalnie nie mamy dolegliwości zdrowotnych, natomiast większość z nas nie może zasnąć. Przewracamy się w śpiworach z boku na bok, jest zimno. W namiotach minusowa temperatura. Pozostawione na zewnątrz plecaka krople do oczu zamrażają. Co jakiś czas zapadam w krótkie drzemki, podczas których śnią mi się kolejne koszmary. Rano wstaję zmęczony z perspektywą, że kolejnej nocy nie będzie czasu na regenerację. Mamy przeczucie, że nasze zmęczenie na ostatnim najtrudniejszym etapie wspinaczki zacznie się niekorzystanie kumulować.

W kolejnym dniu czeka nas trudny odcinek – długa 6-7 godzinna trasa z licznymi stromymi podejściami i zejściami w doliny. Ponadto po dotarciu do czwartego obozu Barafu, tego samego dnia o północy wyruszymy na szczyt.

## **Dzień 6 (Kilimandżaro Barafu 4600)**

**Piatek 10.09.2010**

**P** IV etap Barranco - Barafu

**ã** nocna wspinaczka na Kili

Powtarzamy poranny schemat i spotykamy się o 7.00 na śniadaniu. Ubieramy się dziś cieplej i wyruszamy. Przed nami najtrudniejszy dzień – 7 godzin wspinaczki do ostatniego obozu Barafu. Początkowy odcinek to około jedna godzina stromego skalnego podejścia zwanego „breakfast route”, gdyż część turystów zwraca na nim swoje śniadanie. Nasza cała grupa przechodzi bez problemów. Trasa z góry prowadzi z powrotem do dolin do wysokości 3900, po czym pojawiają się kolejne długie i mozolne podejścia. W miarę upływu czasu zanosi się coraz gęstsza mgła, tracimy widoki. 2 godziny drogi przed ostatnim obozem mijamy dolinę ze strumykiem – ostatnie źródło poboru wody pitnej. Tragarze właśnie aż do tego miejsca wracają z Barafu, aby napełnić zbiorniki.





Na miejsce docieramy przed piętnastą. Najwyższy obóz Barafu jest wkomponowany w strome skaliste zbocza, z wygospodarowanymi półkami na namioty. Jesteśmy wymęczeni stromym podejściem, ale najgorsze przed nami.

W obozie dopadł mnie dokuczliwy ból głowy oraz całkowity brak apetytu. Jako jedyny nie biorę nic do ust podczas obiadu. Do wypicia herbaty musiałem się zmusić. Po obiedzie przygotowujemy ekwipunek na nocne wyjście. Po popołudniu zaczyna padać grad, ale po około 2 godzinach przestaje i po kolejnej chwili nie ma już żadnych śladów po opadach. Po godzinie 19:00 wszyscy są w swoich namiotach, podejmując próbę regeneracji. Przed północą obsługa podaje nam do namiotu gorącą herbatę i kilka herbatników. Wszystkie gwałtowne ruchy, nagłe schyłanie, podejście kilkanaście metrów w górę do toalety powoduje zadyszkę. Przed nami najtrudniejsza dla większości z nas noc w górach.

## **Dzień 7 (Kilimandżaro Uhuru Peak 5895)**

**Sobota 11.09.2010**

**P** V etap wejście na szczyt Kilimandżaro

**ã** Obóz Mweka Hut (namiot)

Godzina 0:30. Na zbiórkę stawiamy się w komplecie. Do naszej grupy dołącza Ola oraz czwórka tanzańskich przewodników. Podejście kilkunastu metrów w górę powoduje u wszystkich zadyszkę, każdy wydaje się mieć wymalowaną na twarzy obawę, że może nie wystarczyć sił na takie zmagania przez całą noc. Wyruszamy w gąszczu czołówek, prowadzi Eliya dość szybkim tempem, wyprzedzając kolejne grupy. Panuje całkowita ciemność. Początkowo idziemy na czele grupy razem z dwoma Agnieszkami, Olą i Pawłem. Idzie mi się dobrze, ale mam obawy, że takie tempo może być zdradliwe na dłuższą metę i rozsądniej byłoby zwolnić. Po około pół godzinie marszu atakują mnie nagłe i gwałtowne odruchy wymiotne. Ponieważ praktycznie przez ostatnią dobę nic nie jadłem, kończy się to głównie na ataku intensywnego kaszlu, któremu towarzyszy „szarpanie” żołądka. Po kilku chwilach sytuacja się uspokaja i czuję się znacznie lepiej. Ola, Agnieszka i Paweł kontynuują wspinaczkę. Ja zostaję z Agą. Po chwili dochodzi do nas Grzegorz z Kasią z informacją, że Wojtek musiał zawrócić do obozu z powodu nasilających się stanów poprzedzających obrzęk płuc. Z Wojtkiem zawrócili Maja i David. Grzegorz, który praktycznie jako jedyny w grupie nie odczuwał jakichkolwiek objawów choroby wysokościowej, szybko dogonił Pawła z Agnieszką i w trójkę tworzyli pierwszy zespół atakujący szczyt. Do nas z Agnieszką dołączyła Kasia, z którą utworzyliśmy drugi 3-osobowy zespół wzajemnie wspierający się w nocnych zmaganiach z górą. Towarzyszyło nam dwóch tanzańskich przewodników – Peter i George – z którymi kontynuowaliśmy marsz.

Droga jest bardzo trudna – mozolnie pniemy się zakosami w górę, w powolnym tempie, spoglądając w górę na nie kończący się rząd światełek – czołówek, jakby bez końca. Cały czas pokonujemy zmęczenie, zimno i inne dolegliwości spowodowane wysokością, motywując się wzajemnie do dalszego wysiłku. Temperatura w nocy spada coraz niżej, a chłód potęgowany jest przez wiejący zimny wiatr.

Okolo godziny 6.00 rano docieramy do Stella Point na wysokości 5735 m n.p.m. Jest już jasno, temperatura zaczyna powoli wzrastać, otwierają się wspaniałe widoki, skończyło się nocne, strome podejście – to wszystko powoduje, że powstają w nas dodatkowe siły, zmęczenie jakby ustępowało, poprawia się nasze samopoczucie i witalność.





Droga ze Stella Point na główny wierzchołek zajmuje poniżej 1 godziny, jest przyjemna, bogata we wspaniałe widoki - krateru z jednej strony i poszarpanych ścian brył lodowca z drugiej. Wysokość powoduje, że poruszamy się mimo wszystko wolno. Po drodze mijamy schodzącą pierwszą trójkę z naszej ekipy, która na szczyt dotarła pół godziny przed nami. Już wiemy, że teraz nic nie stanie nam na przeszkodzie w dotarciu do celu.

O godzinie 7.00 zmęczeni, ale szczęśliwi i wzruszeni stajemy na szczycie – Agnieszka, Kasia,



Peter, George i ja. Spędzamy na dachu Afryki kilkanaście minut zachwycając się widokami, ciesząc się z udanej wspinaczki i dokumentując te radosne chwile zdjęciami pamiątkowymi przy zawieszanej na szczycie tablicy informacyjnej. Rozpoczynamy schodzenie w dół do obozu Barafu.

Z godziny na godzinę jest coraz cieplej, do namiotu wracamy o 9:30 już w podkoszulkach, rozbierając po drodze

kolejne ciuchy. Schodzimy szybko po piargach w ogromnych ilościach wzbijanego wszędzie pyłu. Teraz widzimy, jakie podejście przyszło nam pokonywać w nocy.



W obozie Barafu odpoczywamy 2-3 godziny, w południe jemy lunch i kontynuujemy dalsze zejście aż do obozu Mweka Hut na wysokość 3100 m n.p.m. Zejście jest długie i mozolne, w tym dniu obniżamy się w dół prawie 3 km, nasze zmęczenie potęguje nieprzespana noc, a dla niektórych z nas nawet druga z rzędu. Droga Mweka jest najkrótszą drogą prowadzącą na szczyt, ale rzadko jest wybierana jako droga wejściowa, natomiast jest standardową trasą powrotną dla dróg Machame lub Shira. Po drodze z Barafu do Mweka mijamy obóz pośredni – High Camp.

Wraz z obniżaniem wysokości krajobraz księżycowy stopniowo zmienia się w ścieżkę wijącą się pomiędzy krzewami. Do obozu dochodzimy o 16:00. Namioty jak zwykle już przygotowane. Wszyscy jesteśmy wyczerpani, ale wracamy do standardowego rozkładu dnia w górach: miseczka na mycie rąk, herbatka z popcornem, kolacja.

Wieczorny czas w messie uprzyjemniamy sobie grą w karty w blow-fish'a, przy której nadymamy się na całego. Zbieramy się także po 100\$ od osoby na napiwek dla tragarzy, którzy w ciągu ostatnich dni naprawdę ciężko dla nas pracowali. Przewodnicy, którzy podczas wejścia na szczyt wspomagali nas najbardziej, dostają dodatkowe indywidualne gratyfikacje.

Wracamy do namiotów na ostatni nocleg w górach. Jest to dla większości z nas pierwsza od kilku dni przespana w całości noc.



## **Dzień 8 (Kilimandżaro Mweka Gate)**

**Niedziela 12.09.2010**

**P** VI etap zejście do Mweka Gate

**ã** Olasity Logde Gardern Park, Arusha

Pobudka o 6:00 rano. Przygotowujemy się do ostatniego w górach śniadania. Brak masła, mleka i dżemu sygnalizują koniec wyprawy. Jednak standardowe jajeczka sadzone i owsianka są na stole.

Po śniadaniu odbywa się ceremonia pożegnalna.

Cała ekipa tragarzy, kucharzy, przewodników tańczy i śpiewa dwie piosenki o Kilimandżaro. Po występie składamy podziękowania, wręczamy napiwki i czule ściskamy się na pożegnanie z całą ekipą. Rozdzielamy także cały stos pozostałych po trekkingu słodczy. Polskie batony i kabanosy cieszą się wśród przewodników znacznym powodzeniem. Atmosfera jest bardzo sympatyczna. Wszyscy przewodnicy wydają się zadowoleni z prezentów, dają się także odczytać z ich twarzy radość z faktu, że dziś wracają do swoich domów po 6 dniach rozłąki i ciężkiej pracy. Ostatni odcinek drogi praktycznie zbiegają z ogromnymi pakunkami na głowach, balansując na leśnej ścieżce zrytej korzeniami i kamiennymi głazami.



Przed 9:00 rozpoczynamy ostatnie zejście drogą Mweka do Mweka Gate na wysokość 1700 m n.p.m. Zaczyna kropić deszcz. Pada bardzo słabo, ale na tyle wystarczająco, że leśna droga zrobiła się bardzo śliska. Idziemy przez przepiękny górski las. Po drodze spotykamy małpy, oglądamy ponownie charakterystyczne kwiaty – „Elephant Flower” – z typową czerwoną trąbką pod kwiatem. Na ścieżce spotykamy przemarsz mrówek „safari” – wędrujące mrowisko zdolne do przemieszczania się na znaczne odległości. Podziwiamy bogatą i soczystą zieleń. Co chwila

przebiegają obok nas goniący w dół uśmiechnięci i pozdrawiający nas radosnymi okrzykami tragarze. Około 11:30 docieramy do Mweka Gate, miejsca, z którego wszystkich schodzących zabierają jeepy z powrotem do cywilizacji. W oczekiwaniu na załatwienie formalności i przyjazd samochodów spędzamy niecałą godzinę na miejscu. Oblegają nas handlarze wszelakich pamiątek. Zaopatrujemy się w kapelusze, obrazy wyklejane z liści bananowca, bransoletki, drewniane ozdoby i zabawki. Wszyscy korzystamy z usługi mycia butów za 1\$ od pary. Po 6 dniach brodzenia w pyle są to idealnie zainwestowane pieniądze.

Busami przejeżdżamy do hotelu w Arushy, zaopatrując się po drodze w piwo na wieczór i wodę mineralną na jutrzejsze safari. Na miejsce docieramy o 14:30 i stopniowo adaptujemy się do zdobyczy cywilizacji: zjadamy lunch na siedząco, bierzemy gorący prysznic i nareszcie odpoczywamy w łóżkach. Po południu organizujemy wypad „w miasto”, wykorzystując ostatnią okazję na spacer niesamowitymi ulicami Arushy. Odwiedzamy także pobliski bar.

Po kolacji biesiadujemy do późna, ciesząc się z zakończenia etapu górskiego. Jutro czekają nas nowe przeżycia wśród dzikich zwierząt na safari.



## Dzień 9 (Safari Tarangire)

Poniedziałek 13.09.2010

P Park Tarangire

ã Camping, namioty z łózkami

Po nocnych problemach z lejącą się ze ścian wodą z nieszczelnych kurków budzi nas o 6.00 rano maszyna pompująca wodę, która skutecznie uniemożliwia dalsze spanie. Na szczęście w łazience pojawia się ciepła woda. Znów przepakowujemy bagaże, tym razem na 3-dniowe safari po parkach Tanzanii. Pozostawiony w hotelu depozyt stanowi większość naszego bagażu, kompletnie zakurzonego podetapie górskim. Po śniadaniu – jak zwykle w stylu *hakuna matata* – dopinamy plecaki z resztką czystych rzeczy, które nam pozostały na najbliższe dni.

Z Olasiti zabiera nas bardzo sympatyczny kierowca, dużo opowiadający o Tanzanii podczas 2-godzinnej podróży do parku Tarangire, który dziś będziemy zwiedzać. Otrzymujemy jak zwykle pakiety lunchowe. Po drodze obserwujemy małe przydrożne osady, wędrujących wzdłuż trasy Masajów, targowiska i bezkres tanzańskiego interioru. Przed wjazdem do parku kierowcy załatwiają formalności wjazdowe, natomiast my opróżniamy pod baobabem nasz prowiant.



Otwiera się przed nami naturalny świat dzikich zwierząt. Podziwiamy przede wszystkim słonie, stada gnu, zebry, żyrafy, małpy, bawoły, guźce i impale. Mamy okazję dostrzec także chowające się za krzewami lwice.

Krajobraz półpustynnego Parku Narodowego Tarangire wyróżniają liczne baobaby, których rozmiary robią na nas

ogromne wrażenie. Przez park przepływa rzeka Tarangire gromadząca liczne stada zwierząt przy wodopoju. Panoramę uzupełniają liczne kopce termitów.



Gdziekolwiek pojawia się nadbrzeżny las usiany wysuszonymi palmami. Co jakiś czas drogę przecinają nam wędrujące stada gnu, impali, zebr, nawet żyrafy zdają się ignorować poruszające się wolno po bezdrożach parku jeep'y.



Park zwiedzamy do godziny 17.00. W drodze powrotnej na camping zatrzymuje nas awaria naszego samochodu. Stoimy półtorej godziny na drodze zanim zapada decyzja o holowaniu do najbliższego warsztatu, w którym spędzamy kolejną godzinę. Lokalny bar staje się oazą na najbliższe godziny. W końcu jeden z kierowców zabiera nas na miejsce noclegu, gdzie docieramy o 22.00.

Ośrodek składa się z około 50 2-osobowych namiotów wyposażonych w łóżka z pościelą, ręcznikiem i mydełkiem. Dodatkowy luksus to wykafelkowana łazienka z prysznicami, ciepłą wodą. Pod zadaszoną słomianą strzechą przestronną jadalnią jemy późną kolację i sącymy zachowaną jeszcze z kraju butelkę żubrówki.

## Dzień 10 (Safari Ngorongoro)

Wtorek 14.09.2010

P Wioska Masajów, Park Ngorongoro

ã Camping, namioty z łóżkami



Dzień rozpoczynamy o 6:30. Rano mamy okazję pooglądać nasz ośrodek w pełnym świetle – gdyby nie czarny kucharz, można by było nabrać przekonania, że jesteśmy na prawdziwym obozie harcerskim. Raczmy się kąpielą pod ciepłym prysznicem nie zważając na wypełzające z zakamarków robale.

Po śniadaniu czeka już na nas nowy samochód z kierowcą, niestety wczorajsza awaria unieruchomiła nasz poprzedni pojazd na dobre. Wyruszamy dziś do obszaru chronionego Ngorongoro, który jest wschodnim rozszerzeniem Parku Narodowego Serengeti. W planie mamy wizytę we wiosce Masajów oraz safari w kraterze Ngorongoro.



W drodze do Parku mijamy przepiękne krajobrazy, wioski masajskie oraz ich mieszkańców wędrujących przy drodze. Po dotarciu do osady uzgadniamy ze starszyzną opłatę za wejście do ich domostw. Po ustaleniu stawki 10\$ za osobę, dostajemy zgodę na fotografowanie bez ograniczeń. Jesteśmy witani tańcami i śpiewami, wykonywanymi osobno przez mężczyzn i kobiety, po czym zostajemy zaproszeni do środka wioski, otoczonej palisadą z wysokich gałęzi.



W dalszej części każda para otrzymuje „przewodnika”, który zaprasza nas do masajskiego domu, zbudowanego z gałęzi uszczelnianych krowimi odchodami. Z zaciekawieniem przyglądamy się wnętrzom domostw, w których jest tylko palenisko, jeden otwór na dym, kilka prymitywnych naczyń oraz dwa siedzisko-legowiska pokryte krowią skórą. W paleniskach utrzymywany jest ciągły żar. Masaj – przewodnik czyni honory gospodarza.



Przed domostwami zalegają dzieciaki, krzątają się kobiety, jakby toczyło się zwykłe, codzienne życie. Miarą bogactwa Masajów jest ilość posiadanych sztuk bydła i dzieci. Żywią się wyłącznie tym, co daje bydło – głównym posiłkiem jest mleko krowie zmieszane z bezboleśnie upuszczaną krwią. Na prowizorycznie rozwieszonych sznurkach wiszą wykonywane przez Masajów ozdoby. Wszyscy mieszkańcy wioski cały czas aktywnie zachęcają nas do kupienia ich wyrobów.



Odwiedzana przez nas osada jest miejscem wizyt wielu turystów, z zebranych środków Masajowie wspierają innych swoich ziomków, żyjących na bardzo rozległych terenach. Umożliwiają także w wiosce naukę dzieciom, chociaż lokalna szkoła niczym nie przypomina cokolwiek, co Europejczykowi kojarzy się z edukacją. Masajowie są uważani za najbardziej typowy lud Afryki. Mężczyźni noszą długie charakterystyczne czerwone płachty materiału i drewniane dzidy, natomiast kobiety wyróżniają biżuteria z paciorków no i oczywiście ogolone głowy.



Na krótko zaglądamy do prowizorycznej wioskowej szkoły, w której grupka dzieci siedzących w zdezelowanych ławeczkach recytuje angielski alfabet oraz liczebniki. Naszą uwagę przyciąga wyjątkowej urody nauczycielka – Masajka w typowym stroju oraz wyjątkowym, „intelektualnym spojrzeniu”, jakby nie pasującym do całego otoczenia. W osadzie spędzamy około godziny, kupujemy drobne prezenty i opędzamy się od natrętnych Masajów, którzy swoje bransoletki chcieliby zamienić na nasze zegarki.



Wracamy na brzeg krateru, którego ściany wznoszą się na wysokość do 600 metrów, skąd zaczynamy zjeżdżać stromą drogą w dół w samo serce krateru Ngorongoro, jakby na dno olbrzymiej miski.



Podziwiamy niezwykle drzewa o właściwościach trujących - Aufabie, z którymi kontakt może spowodować problemy żołądkowe, ślepotę, a nawet zgon.



Większość obszaru krateru pokrywa rozległa sawanna. Znowu obserwujemy liczne stada dzikich zwierząt, mamy okazję pooglądać potężne bawoły oraz zobaczyć z dość bliskiej odległości dostojnego czarnego nosorożca. W parku nie występują żyrafy, dla których strome ściany krateru stanowią zbyt trudną do pokonania przeszkodę.



Dalej spotykamy stadko siedmiu rozleniwionych, wygrzewających się na słońcu lwów, oczko wodne, w którym wylegają się hipopotamy, liczne stada gnu, zebra, guźców. Wzdłuż drogi przechadzają się dostojnie strusie. Drogę przecina nam nawet sprawiający wrażenie trochę zagubionego szakal. Poza zwierzyną nasz zachwyt wzbudzają otaczające nas krajobrazy, niczym cuda natury. Ngorongoro to jedyny obszar w Tanzanii, gdzie wspólne terytorium zamieszkuje dzika zwierzyna oraz ludzie – Masajowie. Ciekawostką jest także, że wszystkie słonie zamieszkujące krater to samce, dlatego można tutaj zaobserwować osobniki z dużymi ciosami.



Niestety podczas naszej wycieczki nie udało się nam wypatrzyć lamparta i geparda, którzy nie pokazują się turystom zbyt często.

Zwiedzanie kończymy o 17:00. W drodze powrotnej kupujemy z przydrożnej galerii rzeźbione figury Masaja i Masajki za 25\$. Wieczór na campingu, gdzie spędzamy ostatnią w Tanzanii noc, uprzyjemnia nam występ zespołu, z którym urządzamy sobie wspólne tańce na melodię „Kilimanjaro Song”.

## Dzień 11 (Safari Manyara Lake)

Środa 15.09.2010

P Park Manyara Lake, Arusha, Nairobi

ã bus do Nairobi, samolot

Ostatni dzień w Tanzanii rozpoczynamy wczesnym porankiem korzystając jak zwykle z dobrodziejstw gorącego prysznica. Dziś w programie Park Narodowy Jeziora Manyara leżący na przebiegu Wielkiego Rowu Afrykańskiego. Wyprowadzamy się z namiotów i pakujemy cały nasz ekwipunek na samochody. Przy wyjeździe z ośrodka zaskakuje nas zachowanie kierowcy, który w natrętny sposób wymusza na nas opłacenie napiwkami lokalnego kucharza i udziela nam niemiłych reprimend. Jak się później okazało nie był to jego pierwszy wybryk i takie incydenty niestety nie będą dłużej tolerowane przez zatrudniającą go agencję.



Park Manyara zajmuje stosunkowo małą powierzchnię i jest zupełnie inny niż dwa wcześniej odwiedzone przez nas obszary. Znaczną jego część stanowią tereny leśne, delikatnie przechodzące w krajobraz sawanny. Podczas przejażdżki obserwujemy niecodzienną rywalizację żyraf – dwóch młodych samców walczących o dominację na oczach dorosłego osobnika – wyglądali, jakby bili się o dziewczynę.

Park Narodowy Jeziora Maniara słynie z lwów chodzących po drzewach i wypoczywających wysoko na ich gałęziach,

niestety nie udaje się nam tego zaobserwować. Oglądamy liczne stada pelikanów, które przemieszczają się w malowniczych ptasich kluczach i gromadnie okupują wysokie korony drzew. Cały czas mijamy stadka małp i szympanсів, troskliwie opiekujących się swoim potomstwem. Słonie zebry, bawoły, hipopotamy oraz mnóstwo ptaków można zaobserwować na



każdym kroku. Na objazd terenu wystarczą 3 godziny, po których wyjeżdżamy w

drogę powrotną do naszego hotelu w Arushy. Po drodze standardowy postój w galerii na zakup ostatnich pamiątek.

Do Olasiti Garden trafiamy na lunch, na który jak zwykle podano świetną zupę. Pakujemy wszystkie nasze bagaże, robimy ostatnie pamiątkowe zdjęcia i o 17.00 wynajętym autobusem wyruszamy w drogę na lotnisko do Nairobi w Kenii.

Kilkugodzinna podróż mija w większości po dramatycznej drodze po kamieniach, w tumanach kurzu. Aż dziwne, że przy stosunkowo dużej prędkości nasz pojazd się nie rozlatuje. Trasę uprzyjemniamy sobie grą w macao. Tak trzęsie, że wszystkie kupki z kartami wymagają specjalnych mocowań. Przy świetle czołówek nasz autobusowy hazard rozkręca się na całego.



Przed godziną 21:00 docieramy do granicy kenijskiej. Wypełniamy formularze wyjazdowe z Tanzanii oraz wjazdowe do Kenii. Przy tej biurokracji każdy chyba już zna na pamięć swój numer paszportu. Ponownie wykupujemy wizę tranzytową do Tanzanii za 10\$. Przed samym odjazdem z granicy nasz autobus otaczają handlarze pamiątek. Korzystamy z ostatniej okazji kupujemy jeszcze naszyjnik wykonany z kości krowy oraz wykonaną z koralików biżuterię, którą powszechnie noszą na szyi masajske kobiety.

Przed godziną 23:00 docieramy na lotnisko w Narobi, ale niestety jest ono zamknięte. Na teren lotniska możemy wejść wyłącznie o określonej porze przed odlotem. Na godzinę lokujemy się w pobliskiej knajpie. Opuszczając autobus spotykamy się z pretensjami kierowcy, że nie dostał napiwku, ale wymęczeni przejazdem nawet nie wdajemy się w dyskusję.

Po wejściu na teren lotniska foliujemy bagaże (7\$ za plecak). Po odprawie zasiadamy na 2 godziny w restauracji Savanna, w której furorę robią shake'i z 4 gałek lodów oraz zestawy Savanna Jmbo z hamburgerami i chipsami. Trochę stęsknieni za fast-food'em delektujemy się potrawami. Do odlotu mamy tyle czasu, że z nudów odwiedziliśmy chyba wszystkie lotniskowe sklepiki i toalety. W końcu punktualnie o 2:30 odlatujemy samolotem Turkish Airlines do Istanbulu.

## **Dzień 12 (Powrót do domu)**

**Czwartek 16.09.2010**

**P** Istambuł – Berlin - Katowice

**ã** samolot, bus, gdzie popadnie



Po 6 godzinach lądujemy w Istambule. Podobnie jak w drodze do Kenii, na pokładzie był bardzo dobry catering. Kolejne 6 godzin mamy do zagospodarowania

na lotnisku. Zabijamy je spacerami po sklepikach i knajpach. Na początek wypasiona kawa w Starback'u, a potem kolejne tureckie fast-food'y. W końcu odlatujemy, przesuwamy zegarki z powrotem jedną godzinę w tył. Mamy godzinne opóźnienie spowodowane problemami z



rozemieszczeniem bagażu w samolocie, dodatkowo kilkanaście minut kołujemy przed lądowaniem najprawdopodobniej w oczekiwaniu na wolny pas. W Berlinie lądujemy o 18.00. Tutaj kończy się nasza wspólna podróż, żegnamy się z Olą, która towarzyszyła nam w całej wyprawie. Czeka już na nas kierowca busa, którym wracamy do Katowic. Każdy z nas zostanie komfortowo odstawiony pod same drzwi domu.

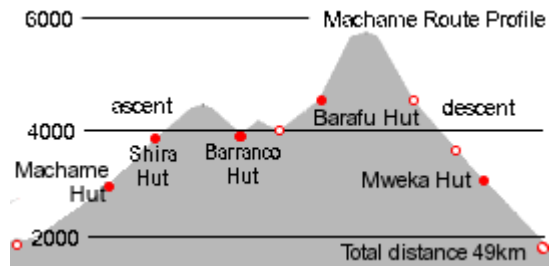
Tutaj kończy się nasza opowieść o niesamowitym czarnym lądzie, który przez ostanie kilkanaście dni mieliśmy okazję zobaczyć, dotknąć i doświadczyć. Stoki Kilimandżaro, stepy Masajów, atmosfera afrykańskiej ulicy i świat dzikich zwierząt na długo pozostaną w naszej pamięci, jednak pomimo tych wszystkich wrażeń z naszych twarzy już teraz można wyczytać, że powoli każdy z nas zaczyna zastanawiać się coraz bardziej, jaki będzie cel naszej kolejnej wyprawy.



# Dodatki



Profil wysokościowy drogi Machame



Schemat drogi Machame



Zestawienie dróg na Kilimandżaro

